

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

SAM

Gdy tylko zobaczyłem wybrany obszar na półwyspie, wiedziałem, że to strzał w dziesiątkę.

Na teren wchodziło się przez bramę z grubo ciosanych belek, z wypalonym w drewnie napisem „KNIFE LAKE LODGE”. Po obu stronach ciągnęło się ogrodzenie przypominające palisadę. Koenig zaklął cicho, próbując sobie przypomnieć kombinacje zamka przy bramie, a gdy ją wreszcie otworzył, zwrócił naszą uwagę na następujący za palisadą drut obwiązany wokół rosnących co metr wiecznie zielonych drzew. Był uprzejmy i rzeczowy jak agent nieruchomości pokazujący potencjalnym klientom kosztowny kawałek ziemi.

– Jak to wygląda nad brzegiem? – zapytałem.

Grace zabiła komara. Było ich tu mnóstwo pomimo chłodu. Cieszyłem się, że przyjechaliśmy tak wcześnie, bo już o tej porze wydawało się, że powietrze miało zęby.

Koenig pociągnął za drut, który mocno trzymał się sosny o poszarpanej korze.

– Półwysep wcina się kilkadziesiąt metrów w głąb jeziora. Wspominałem już o tym? Chcielibyście to zobaczyć na własne oczy?

Nie byłem pewien, czy chcę. Właściwie to nie wiedziałem, czego szukam. Drozd nad moja głową nawoływał nieprzerwanie, niczym wprawiona w ruch zardzewiała huśtawka. Kawałek dalej usłyszałem drugiego ptaka, którego śpiew rozbrzmiewał wielokrotnie powtórzoną literą „r”. Z innej strony lasu dobiegł mnie lament kolejnego. Tak zagęszczone, nakładające się na siebie warstwy ptasich treli można było usłyszeć tylko na terenach nieskażonych aktywnością człowieka. Stojąc w tym starym lesie iglastym, wyczułem stado jeleni, skradające się bobry i małe gryzonie pod kamienistą glebą. Już dawno nie czułem się tak bardzo wilkiem. W moich żyłach zaczęło krążyć nerwowe podniecenie.

– Ja bym chciała – oznajmiła Grace. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

– Po to tu jesteśmy – powiedział Koenig i swoim zwykłym pewnym krokiem wszedł pomiędzy drzewa. – Nie zapomnijcie sprawdzić, czy nie macie kleszczy, gdy już skończymy.

Poszedłem za nimi, zadowolony, że Grace troszczy się o ważniejsze kwestie, podczas gdy ja mogę wędrować przez las i wyobrażać sobie, jak wyglądałoby życie przesiedlonej tu sfory. Te knieje były gęste i trudne do pokonania, ziemię porastały paprocie zasłaniające kamienie i doły. Płot wystarczał, by utrzymać z dala duże zwierzęta, więc w przeciwieństwie do lasu Boundary nie było tutaj naturalnych ścieżek wydeptanych w poszyciu. Wilkom nie będzie tu grozić konkurencja. Żadnych niebezpieczeństw. Koenig miał rację. Jeśli musimy je przesiedlić, nie znajdziemy lepszego miejsca.

Grace wróciła po mnie i mocno chwyciła mnie za łokieć. Narobiła przy tym tyle hałasu, że dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, ja bardzo zostałem w tyle.

– Sam – powiedziała bez tchu, jakby myślała o tym samym co ja. – Widziałeś domek?

– Patrzyłem na paprocie – przyznałem.

Złapała mnie za ramię i roześmiała się czystym, wesołym śmiechem, jakiego nie słyszałem od bardzo dawna.

– Paprocie... - powtórzyła i uściśniła moją rękę. – Wariacie, chodź tutaj.

Trzymanie się za ręce wydawało się dziwne i nierealne, kiedy robiliśmy to w obecności Koeniga. Może dlatego, że to była pierwsza rzecz, na jaką zwrócił uwagę, kiedy doszliśmy na polanę, na której stał wspomniany domek. Policjant założył na głowę baseballówkę, która miała go ochronić przed końskimi muchami. Jakimś cudem z tym nowym elementem garderoby wyglądał jeszcze bardziej formalnie. Stał

przed wejściem do wyblakłej chaty, która wydała mi się ogromna. Mnóstwo okien i z grubsza ociosanych belek. Tak musieli sobie wyobrażać Minnesotę turyści.

– To jest ten „domek”? – spytałem zdziwiony.

Koenig odgarnął kamyki i śmieci z betonowego podestu przed budynkiem.

– Tak. Kiedyś był znacznie ładniejszy.

Spodziewałem się... nie, nawet się nie spodziewałem, zaledwie miałem nadzieję, że znajdzie się tu jakiś maleńki pawilon, pozostałość po dawnym ośrodku wypoczynkowym, w którym członkowie sfory mogliby znaleźć schronienie, gdy staną się ludźmi. Kiedy Koenig użył słów „dawny kurort” nie sądziłem, że miał na myśli luksusowe warunki. Założyłem, że to tylko lekko upiękuszona opowieść o nieudanym rodzinnym biznesie. Ten dom musiał być imponujący, kiedy go zbudowano.

Grace odłączyła się ode mnie, żeby lepiej się wszystkiemu przyjrzeć. Zajrzała przez zakurzone okno, przykładając dłoń do szyby. Winorośl pnąca się po ścianie domu musnęła czubek jej głowy, gdy stała po kostki w chwastach, które wyrastały z pęknięć w betonowym podeście i podmurówce. W porównaniu z otoczeniem wyglądała bardzo schludnie: czyste dżinsy, jedna z moich kurtek, blond włosy rozsypane na ramionach.

– Wygląda całkiem przyjemnie – skomentowała, czym jak zawsze mnie ujęła.

Najwyraźniej swoją oceną ujęła również Koeniga. Gdy policjant zorientował się, że w jej głosie nie czai się sarkazm, z zapalem pokiwał głową.

– Też tak myślę. Ale nie ma tu już prądu. Można by podłączyć zasilanie, ale wtedy inkasenci przyjeżdżaliby raz w miesiącu, żeby odczytywać stan liczników.

Grace, z twarzą wciąż przyciśniętą do szyby, rzuciła:

– Och, to brzmi jak początek horroru. Tam jest wielki kominek, prawda? Dałoby się tu mieszkać bez prądu, gdybyśmy byli wystarczająco sprytni.

Stanąłem obok niej i też zajrzałem do środka. Zobaczyłem duży mroczny salon zdominowany przez ogromne palenisko. Wszystko wokół było szare i sprawiało wrażenie porzuconego: bezbarwne dywany pokryte grubą warstwą kurzu, martwa roślina w doniczce, nadgryzione zębem czasu poroże jakiegoś zwierzęcia, trudnego do zidentyfikowania ze starości. To było niczym porzucone hotelowe lobby, fotka z Titanica spoczywającego na dnie oceanu. Pomyślałem, że mniejszy dom byłby łatwiejszy do zagospodarowania.

– Czy mogę się rozejrzeć po reszcie terenu? – zapytałem, odsuwając się od okna.

Delikatnym ruchem odciągnąłem Grace od bluszczu – był trujący.

– Nie krępuj się – powiedział Koenig. Ale po chwili milczenia zagadnął mnie: - Sam?

W jego głosie zabrzmiała nutka ostrożności i pomyślałem, że nie spodoba mi się to, co za chwilę usłyszę.

– Tak, sir? – zapytałem. To „sir” wymknęło mi się bezwiednie. Może przez to, w jaki sposób wymówił moje imię?

– Geoffrey Beck jest twoim legalnym przybranym ojcem, zgadza się?

– Tak – potwierdziłem. Serce aż szarpnęło mi się w piersi na to pytanie, nie dlatego, że moja odpowiedź była kłamstwem, tylko dlatego, że nie rozumiałem, dlaczego policjant mnie o to pyta. Może zmienił zdanie co do pomagania nam. Starąłem się, żeby mój głos zabrzmiał nonszalancko: - Czemu to pana interesuje?

– Zastanawiam się, czy to, co ci zrobił, było przestępstwem – oznajmił Koenig.

Mimo że staliśmy pośrodku pustkowia w sercu Minnesoty, natychmiast zrozumiałem, co miał na myśli. Chodziło mu o mnie, przyszpilonego do ziemi przez zwierzęta, leżącego w zaspie śniegu przed domem, czującego na twarzy gorący wilczy oddech.

Teraz serce naprawdę waliło mi młotem. Może policjant nigdy nie zamierzał nam pomóc. Może cała ta wyprawa i wszystkie rozmowy były tylko po to, żeby zebrać dowody obciążające Becka? Skąd mogłem wiedzieć, o co mu chodzi? Poczuję, że się rumienię. Może byłem naiwny, myśląc, że ten gliniarz pomoże mi tak chętnie i bezinteresownie?

Wytrzymałem wzrok Koeniga, chociaż puls mi przyspieszył.

- Nie mógł wiedzieć, że moi rodzice będą próbowali mnie zabić.
- Ach... ale to sprawia, że jego czyn staje się jeszcze wstrętniejszy. Przynajmniej ja tak uważam – zripostował funkcjonariusz tak szybko, że chyba musiał spodziewać się tego argumentu. – Gdyby nie próbowali cię zabić i nie usunęliby się z drogi, co wtedy by zrobił? Porwał cię? Czy walczyłby o ciebie, gdyby mu tego nie ułatwili?

Grace przerwała jego rozważania:

- Nie można oskarżać kogoś o coś, co mógłby zrobić.

Zerknąłem na nią. Zastanawiałem się, czy myśli o tym samym.

Koenig ciągnął dalej:

- Ale kazał tym dwóm wilkom zaatakować Sama z zamiarem zrobienia mu krzywdy.
- Nie krzywdy – wymamrotałem, jednak odwróciłem wzrok.
- Uważam to, co ci zrobił, za krzywdę – powiedział poważnie policjant. – Grace, czy zbliżyłabyś się do czyjegoś dziecka, żeby je ugryźć?

W odpowiedzi tylko się skrzywiła.

- A ty, Sam? Nie? To, że większość ludzi nie wie, co tak naprawdę zrobił ci Geoffrey Beck, nie oznacza, że to nie była napaść.

Z jednej strony wiedziałem, że ma rację, ale z drugiej strony mowa była o Becku, którego znałem, o Becku, który sprawił, że byłem tym, kim byłem. Jeśli Grace uważała, że jestem dobrym i hojnym człowiekiem, to tylko dlatego, że nauczyłem się tego od mojego opiekuna. Gdyby był potworem, z pewnością ja też stałbym się potworem na jego obraz i podobieństwo. Przez wszystkie te lata znałem fakty związane z moim przyłączeniem się do sfory. Powoli jadący samochód, wilki, śmierć Sama Rotha, syna rodziców z klasy średniej zamieszkających w Duluth, z których jedno pracowało na poczcie, a drugie w biurze, wykonując pracę, która dla siedmiolatka wyglądała jak „nic-nie-robienie”. Gdy patrzyłem wstecz, uświadamiałem sobie, że atak wilków na mnie nie był przypadkowy. Jako dorosła osoba wiedziałem, że stał a tym Beck. Że on to z a p l a n o w a ł - to było tak trafnie dobrane słowo, że trudno je było zastąpić innym, o łagodniejszym znaczeniu.

- Czy zrobił ci coś jeszcze, Sam? – zapytał Koenig.

Przez długą chwilę nie miałem pojęcia, co miał na myśli. Ale potem poderwałem głowę i wykrzyknąłem:

- Nie!

Policjant spoglądał na mnie z wyrzutem. Nienawidziłem go w tamtym momencie za to, że odbierał mi moje wspomnienia Becka, ale jeszcze bardziej nienawidziłem Becka za to, że tak łatwo można było mi go odebrać.

- Proszę przestać – powiedziałem. – Po prostu proszę przestać. Dobrze?

Grace wtrąciła łagodnie:

- Beck jest teraz wilkiem. Myślę, że bardzo trudno byłoby panu postawić go w stan oskarżenia, a nawet gdyby to się udało, to on już odsiaduje wyrok.
- Przepraszam. – Koenig uniósł ręce w geście poddania, jakbym celował do niego z pistoletu. – Umysł gliniarza. Masz rację. Ja po prostu... nieważne. Bardzo trudno jest przestać o tym myśleć, kiedy się już zacznie. O twojej historii. O historii sfory. Chcesz wejść do domu? Ja i tak

muszę na moment zajrzeć do środka, żeby się upewnić, że nie ma tam niczego, po co mógłby chcieć wrócić jakiś członek mojej rodziny.

- Najpierw wolałbym się przejść po okolicy – powiedziałem. Czuję ulgę, że Koenig jednak okazał się tym, za kogo go braliśmy. Cały ten plan wydawał się taki niepewny... - Jeśli mogę.

Policjant skinął głową, wciąż z wyrazem skruchy na twarzy. Złapał za klamkę. Drzwi ustąpiły bez protestu. Funkcjonariusz nie patrzył w naszą stronę, wchodząc do środka.

Kiedy zniknął w głębi, ruszyłem na tyły domu, a Grace wyskubała kleszcza z nogawki spodni, zmiażdżyła go paznokciem i podążyła za mną. Nie wiedziałem, gdzie konkretnie chcę pójść – dalej przed siebie, głębiej w dżunglę czy może do jeziora. Ścieżka z desek zaprowadziła nas jakieś trzydzieści metrów od domu i z powrotem w głąb lasu, zanim ustąpiła miejsca paprociom i cierniom. Nasłuchiwałem ptaków i dźwięków naszych stóp. Popołudniowe słońce malowało wszystko wokół odcieniami złota i zieleni. W obliczu otaczającej mnie natury czułem się niewielki i nieistotny.

- Sam, to może się udać - zaczęła Grace.

Nie patrzyłem na nią. Myślałem o kilometrach dzielących to miejsce od domu Becka, który już zdawał się być smutnym wspomnieniem.

- Ten „domek” jest straszny.
- Można go wysprzątać – nie poddawała się dziewczyna. – To może się udać.
- Wiem – powiedziałem. – Wiem, że może.

Natknęliśmy się na skalne rumowisko, złożone z ogromnych sterczących skał oraz głazów płaskich jak otoczaki i większych od mojego samochodu. Grace zatrzymała się tylko na chwilę, po czym podjęła wspinaczkę. Wgramoliłem się za nią i razem stanęliśmy na wzniesieniu. Wciąż nie byliśmy wystarczająco wysoko, żeby zobaczyć czubki drzew. Poczułem szum w uszach i miałem wrażenie, że ziemia lekko się porusza, co zawsze jest dowodem na to, że jest się odrobinę bliżej nieba niż wcześniej. Nie widziałem tak wysokich sosen w Mercy Falls. Jedno z drzew wyrastało ze szczytu skalnego rumowiska i Grace z namysłem przesunęła palcami po jego pniu.

- Jesteś taka piękna...

Zamilkła, a jej dłoń spoczęła na korze, gdy zadarta głowę, żeby zobaczyć czubek sosny. Było coś uroczego w kształcie jej rozchylonych w zdumieniu warg oraz w linii pleców i nóg. Jakby na szczycie tej góry kamieni pośrodku pustkowia czuła się jak w domu.

- Sprawiasz, że kochanie cię jest bardzo łatwe – szepnąłem tklawie.

Grace oderwała się od drzewa i zwróciła ku mnie. Poruszyła głowę na boki, jakbym zadał jej zagadkę, którą musiała rozwiązać.

- Dlaczego jesteś taki smutny?

Włożyłem ręce do kieszeni i spojrzałem na ziemię u naszych stóp, ozdobioną tuzinem rozmaitych odcieni zieleni. Jako wilk nie odróżniłbym ani jednego.

- To jest odpowiednie miejsce. Ale to będąc musiał być ja, Grace. Tego chce Cole. Nie możemy wyłapać wszystkich wilków i mamy za mało ludzi, żeby je przewieźć. Jedyna szansa, jaką mamy, to je poprowadzić i musi to zrobić wilk z ludzkim wyczuciem kierunku. Chciałem, żeby Cole to zrobił. To byłoby fair. Na logikę to powinien być on. Lubił być wilkiem. Gdyby na świecie była sprawiedliwość, to on by je poprowadził. Ale nie. Bo jako wilk nie potrafi zatrzymać ludzkich myśli. Chciał, ale mu się nie udało.

Grace oddychała powoli i ostrożnie. Milczała chwilę.

- Przecież ty już nawet się nie przemieniasz – zauważyła w końcu.

Znałem rozwiązanie tego problemu.

- Cole może to wywołać.

Wyciągnęła jedną z moich rąk z kieszeni i ujęła moje skurczone palce w swoją dłoń. Kciukiem wyczułem jej puls, lekki i miarowy.

- Zacząłem brać to za pewnik – powiedziałem, przesuwając palcami po jej skórze. – Zacząłem myśleć, że nigdy więcej nie będę tego robił. Zacząłem lubić osobę, którą jestem.

Miałem ochotę jej powiedzieć, jak bardzo nie chcę się znowu przemieniać, jak bardzo nawet nie chcę myśleć o przemianie. Jak wreszcie zacząłem myśleć o sobie w czasie teraźniejszym, o możliwościach i przyszłości, zamiast życia zakonserwowanego. Ale nie ufałem własnemu głosowi. Wyznanie moich pragnień i lęków nie sprawiłoby, że moja misja stałaby się łatwiejsza. Więc milczałem.

- Och, Sam – westchnęła. Objęła mnie za szyję i pozwoliła, żebym wtulił w nią twarz. Błądziła palcami po moich włosach. Usłyszałem, jak ciężko przełyka ślinę... - Kiedy wreszcie my...

Ale nie dokończyła. Tylko przycisnęła mnie do siebie mocno. Pocałowałem ją w obojczyk. Jej włosy łaskotały mnie w twarz. Znowu westchnęła.

Dlaczego to wszystko przypominało pożegnanie?

W otaczającym nas lesie było głośno: ptaki śpiewały, woda chlupotała, wiatr szeptał wśród liści. To był oddech lasu. Był taki, zanim przyjechaliśmy, i nie zmieni się, gdy odjedziemy. Ten świat składał się z wielu ściegów prywatnych niewypowiedzianych smutków, a nasze były tylko jeszcze jednym szlaczkiem w całej robótce.

- Sam... - Koenig stał u podnóża rumowiska. Grace i ja odsunęliśmy się od siebie. W ustach poczułem jej włos. Usunąłem go. – Twój telefon dzwoni i odrzuca połączenie, zanim można nagrać wiadomość. Jest tu zbyt kiepski zasięg, żeby ktoś się przebił. To był twój domowy numer.

Cole...

- Powinniśmy wracać – zarządziła Grace. Ruszyła w dół z tą samą pewnością siebie, z jaką się tu wspięła. Stała obok Koeniga i przez chwilę razem przyglądali się skałom i otaczającym je drzewom, dopóki do nich nie dołączyłem.

Funkcjonariusz skinieniem głowy wskazał na otaczające nas lasy.

- I co myślicie?

Spojrzałem na Grace, więc Koenig zrobił to samo. Ona tylko pokiwała głową.

- Ty też? – zapytał mnie policjant.

Uśmiechnąłem się smutno.

- Tak myślałem. – Policjant się ucieszył się. – To dobre miejsce, żeby się zgubić.